

Tadeusz Biliński

Czy Sąd w Madrasie wyjaśnił sprawę zabójstwa premiera Indii Rajiva Gandhiego?

Palestra 42/11-12(491-492), 116-121

1998

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Tadeusz Biliński

Czy Sąd w Madrasie wyjaśnił sprawę zabójstwa premiera Indii Rajiva Gandhiego?

Podpisawszy wyrok śmierci sędzia V. Navaneethan przełamał pióro na pół. Zgodnie z indyjską tradycją tym samym piórem można podpisać najwyższy wyrok tylko jeden raz. Tak 28 stycznia 1998 roku zakończył się trwający wiele miesięcy proces zabójców byłego premiera Indii Rajiva Gandhiego. Sędzia V. Navaneethan skazał wszystkich dwudziestu sześciu oskarżonych na karę śmierci przez powieszenie. Odbywał się w specjalnie zbudowanym więzieniu na dalekich przedmieściach Madrasu. Każdego z oskarżonych osadzono w osobnej celi. Do sali rozpraw każdego doprowadzano pod eskortą sześciu uzbrojonych policjantów. Jeszcze siedem lat po zamachu władze indyjskie obawiają się, że Tygrysy Tamilskie (LTTE) podejmą próbę odbicia albo likwidacji swoich ludzi. Nie są to czcze obawy, ponieważ śledztwo i proces wykazały, że zleceniodawcą mordu i doskonałym jego wykonawcą, była specjalna grupa egzekucyjna przystana z sąsiedniej Sri Lanki. Decyzję wysadzenia w powietrze Rajiva Gandhiego podjął osobiście przywódca Tygrysów, Vellupilai Prabhakaran. W uzasadnieniu wyroku sędzia powiedział, że „morderstwo Rajiva Gandhiego nosiło cechy diaboliczne”, dokonała go grupa cudzoziemskich i indyjskich terrorystów, którzy poza byłym premierem pozbawili dodatkowo życia jeszcze szesnaście innych, całkiem przypadkowych osób. Zamach spowodował chaos w kraju i zachwiał strukturą indyjskiej demokracji. W uzasadnieniu przedstawił po raz pierwszy dokładny opis zamachu dokonanego siedem lat temu w Sriperumbudur, motywy kierujące jego inicjatorami oraz przebieg śledztwa. Być może tajemnica zamordowania Rajiva Gandhiego została, jak się wydaje, ostatecznie rozwikłana.

Tygrysy tamilskie

Od piętnastu lat na Sri Lance toczy się wojna domowa między Syngalezami stanowiącymi większość społeczeństwa, a tamilską mniejszością. Przez długi czas nie ograniczała się jednak do samej Sri Lanki, niewielkiej wyspy oddzielonej od

południowej części Indii zaledwie wąską cieśniną. Tamilowie cejlońscy zajmują północną część Sri Lanki zaś zaledwie kilkadziesiąt kilometrów dalej na północ, po drugiej stronie cieśniny Palk, mieszka sześćdziesiąt milionów Tamilów indyjskich. Dla wielu z nich walka ich cejlońskich współbraci z armią rządową to walka o wolność. Sympatia jaką Tamilowie indyjscy darzyli swoich współbraci na Sri Lance była duża, a momentami nawet gorąca. Również władze indyjskie były w ten konflikt zaangażowane, ponieważ od początku lat osiemdziesiątych szkoliły kilkanaście tamilskich organizacji zbrojnych ze Sri Lanki. Uczono ich prowadzenia walki w dżungli, produkcji i podkładania bomb, zamachów terrorystycznych, działalności wywiadowczej. Indusi byli dobrymi nauczycielami, a Tamilowie bardzo pojętymi uczniami. Tak bardzo, że wkrótce prześcignęli swoich mistrzów.

W 1986 roku Indusi uniemożliwili armii cejlońskiej ostateczne rozprawienie się z Tygrysami Tamilskimi. Wojska rządowe rozpoczęły wielkie natarcie w kierunku stolicy Tamilów, Jaffny, ale pod indyjską presją musiały się zatrzymać. Po wielu miesiącach negocjacji, w lipcu 1987 roku, ówczesny prezydent Sri Lanki J. R. Jayawardene i premier Indii Rajiv Gandhi podpisali porozumienie uznające integralność terytorialną wyspy. Tamilom zapewniono ograniczoną autonomię, której gwarantem miały zostać Indie. Wielki sąsiad uzyskał więc bezpośredni wpływ na politykę wewnętrzną Cejlonu. Spośród wielu tamilskich organizacji zbrojnych jedynie Tygrysy Tamilskie (LTTE) zdecydowanie przeciwstawili się rozwiązaniu przyjętemu ponad ich głowami. Tygrysy bowiem nie godziły się na żadną ograniczoną autonomię – chciały całkowitej, niczym nie skrępowanej niepodległości. Tego zaś Indie im dać nie chciały i nie mogły. Sprawa była bowiem skomplikowana i nikt nie potrafił zagwarantować, że któregoś dnia sześćdziesiąt milionów indyjskich Tamilów, zachęconych przykładem z Cejlonu, nie zażąda niepodległości dla siebie. Oznaczałoby to rozpad Indii.

Zgodnie z porozumieniem na Sri Lance wylądował indyjski korpus ekspedycyjny nazwany Indyjskimi Siłami dla Utrzymania Pokoju. Jego celem było zagwarantowanie przestrzegania zawieszenia broni przez obydwie walczące strony oraz rozbrojenie oddziałów tamilskich partyzantów. Problem pojawił się, kiedy Tygrysy odmówiły złożenia broni. W krótkim czasie wojska indyjskie stały się celem ataków tamilskich partyzantów i na północy wyspy rozgorzała okrutna partyzancka wojna. Indusi dysponowali przewagą techniczną i ilościową. Tamilowie przewyższali ich wołą walki, znajomością terenu i wyszkoleniem, które uzyskali wcześniej od indyjskich instruktorów. Wkrótce okazało się, że korpus ekspedycyjny zaczyna tę wojnę przegrywać, ale zanim został wycofany w marcu 1990 roku, zyskał sobie wśród Tamilów złą sławę. Indusi zabijali ludność cywilną i gwałcili lokalne Tamilki, co powodowało tylko dalsze narastanie nienawiści i oporu. Jedną z ofiar była, jak się przypuszcza, niejaka Dhanu, której rola w zamachu na Rajiva Gandhiego okazała się później kluczowa.

Pas z bombą

Szef Tamilskich Tygrysów, Vellupilai Prabhakaran nie mógł darować Rajivowi Gandhiewi zdrady polegającej na skierowaniu wojsk indyjskich przeciwko tamils-

kim powstańcom. „Zostałem ugodzony nożem w plecy” – mówił swoim współpracownikom. Zaraz po ogłoszeniu przedterminowych wyborów powszechnych w Indiach na maj 1991 roku w tajnym sztabie wywiadu Tygrysów podjęto przygotowania mające na celu likwidację Rajiva. Przywódcy LTTE spodziewali się, że Gandhi zostanie ponownie premierem. W takim wypadku, jak sądzili, nie będą mogli oczekiwać po nowym rządzie Indii niczego dobrego. Zdecydowali się więc na działania wyprzedzające.

Plan zamachu przygotowano bardzo skrupulatnie. Głównymi jego autorami byli szef Tygrysów Pottu Amman i Akila, kierująca kobiecą sekcją wywiadu. W końcu kwietnia skompletowano dziewięcioosobową grupę uderzeniową. Na jej czele stanął Sivarajan, którego koledzy przezywali „Jednooki Jack”, po tym, jak w potyczce z armią indyjską stracił prawe oko. Po ostatnim przeszkoleniu i wspólnej kolacji z Prabhakaranem, co było tradycją tamilijskich oddziałów samobójczych, wsiedli do łodzi motorowej i ruszyli do Indii. Po drodze zepsuł się jednak silnik i pierwsza próba przedostania się przez cieśninę zakończyła się niepowodzeniem. Ostatecznie 30 kwietnia wylądowali na dzikiej plaży w Kodiakkarai, a dzień później zostali przejęci przez agentów LTTE w Tamil Nadu.

Pottu Amman bardzo starannie przygotował się do akcji tworząc wyłącznie na potrzeby swojej grupy zamachowców całą nową siatkę agentów wspierających na terenie Indii. Była całkowicie niezależna od istniejącej już siatki LTTE, spenetrowanej w dużej części przez indyjski kontrwywiad. W początkowej fazie śledztwa po zamachu sprawiło to indyjskim władzom niemałą trudność. Do grona nowych agentów wciągnięto Tamilów ze Sri Lanki oraz Tamilów, obywateli indyjskich. Szczególne znaczenie mieli ci ostatni, ponieważ cejlońskiego Tamila nietrudno rozpoznać na podstawie charakterystycznego akcentu. Po wylądowaniu grupa rozdzieliła się rozmieszczając w wynajętych wcześniej domach sympatyków. W okolicach Madrasu założono centrum łączności. Kontrwywiad indyjski kilka razy namierzył miejsca, z których na wysokich częstotliwościach wysyłano krótkie zaszyfrowane komunikaty, ale nigdy nie potrafił znaleźć nadajnika ani obsługującego go Tamila o pseudonimie Nehru. Nehru – jak Jawaharlal Nehru, pierwszy premier Indii, który był dziadkiem Rajiva, przeciwko któremu skierowane były teraz działania asasynów. Ludzie LTTE jak widać, nie byli pozbawieni nieco makabrycznego poczucia humoru.

Tydzień po lądowaniu grupa przeprowadziła test polegający na zbliżeniu się podczas wiecu przedwyborczego do Vishwanath Pratap Singha, innego byłego premiera. Młoda Tamilka, Dhanu miała podejść do Singha i założyć mu na szyję girlandę kwiatów. Do założenia girlandy nie doszło, bo Dhanu nie wpuszczono na podium VIP-ów, ale po zakończeniu wiecu podeszła dostatecznie blisko i udało jej się wręczyć premierowi kwiaty. Spokojnie mogłaby go zabić, gdyby miała takie zadanie. Sivarajan uznał to za sukces, okazało się bowiem, że indyjscy przywódcy są słabo chronieni. Decyzję o wysadzeniu Rajiva w powietrze podjęto ostatecznie tego samego wieczoru.

W godzinach popołudniowych 21 maja, Dhanu założyła pod luźną sukienkę specjalnie uszytą kamizelkę. Na plecach miała kilogram materiału wybuchowego

RDX, czyli inaczej mówiąc plastyku, do którego wprasowano dziesięć tysięcy dwumilimetrowych stalowych kulek. W przedniej części kamizelki umieszczono dwie dziewięciowoltowe baterie i dwa przełączniki: jeden włączał obwód elektryczny, drugi powodował wybuch. Stała się żywą bombą. Sivarajan przypiął pod luźną koszulą dziewięciomilimetrowy pistolet, z którym nigdy się nie rozstawał. W rękę trzymał notatnik i długopis. Na wiecu miał udawać dziennikarza. Poza Dhanu i Sivarajanem na wiec przedwyborczy Rajiva Gandhiego w Sriperumbudur udała się również Subha, która prawdopodobnie miała na sobie drugą bombę, jako zapasowy zamachowiec na wypadek, gdyby Dhanu nie mogła wykonać zadania oraz Haribabu, młody fotograf, którego zadaniem było uwiecznienie zamachu na filmie. Życzył sobie tego sam Prabhakaran – chciał obejrzeć moment śmierci zdrajcy.

Dalszy przebieg zdarzeń znany jest dość dobrze dzięki zdjęciom Haribabu, które wpadły w ręce policji: Dhanu z girlandą w rękę stoi w grupie działaczy Kongresu Indyjskiego czekających na przyjazd Rajiva; Rajiv słucha wiersza recytowanego przez czternastoletnią Kokile Vani, w białej sukience z warkoczykami, tuż za nią widać fragment głowy i plecy Dhanu; Dhanu zakłada girlandę na szyję Rajiva i schyla się, jak gdyby zamierzała dotknąć rękoma jego stóp w indyjskim geście uszanowania; Rajiv schyla się, aby ją powstrzymać i w tym momencie następuje wybuch. Twarz byłego premiera znalazła się prawie dokładnie nad ładunkiem wybuchowym, rozpoznano go później wyłącznie po adidasach. Z Dhanu pozostały w większości porozrywane szczątki, tylko głowa z twarzą zachowały się wyjątkowo dobrze.

Dowód był na kliszy

Na krwawym pobojowisku znaleziono aparat fotograficzny, a wewnątrz dziesięć nieuszkodzonych klitek. Jego właściciel, Haribabu, zginął prawdopodobnie przez przypadek, zbliżywszy się nadmiernie do Dhanu. Powołany następnego dnia po zamachu Specjalny Zespół Śledczy Centralnego Biura Śledczego dzięki tym fotografiom uzyskał pierwszy konkretny ślad. Jego członkowie, stanowiący elitę indyjskiej policji nie mieli początkowo pojęcia, gdzie szukać sprawców. Czy byli to terroryści sikhijscy, mudżahedini muzułmańscy z Kaszmiru, Tygrysy Tamilskie, a może Nagowie z birmańskiego pogranicza? Może Naxalicy z Ludowych Grup Wojennych z Andhra Pradesh? Prace zespołu organizował Devarayapuram Ramasamy Karthikeyan. Grupa pracowała po osiemnaście godzin na dobę. Pierwsze ślady były obiecujące i zaczęły wskazywać coraz bardziej na srilankańską LTTE. Zdjęcia wykonane przez Haribabu, w tym wizerunek lidera zespołu Sivarajana, opublikowała prasa. Coraz szerszym strumieniem zaczęły napływać informacje. Ze znalezionych na miejscu wybuchu szczątków materiału zrekonstruowano kamizelkę, w której zabójcy umieścili bombę. Resztki materiału wybuchowego posłużyły do jego identyfikacji.

W końcu maja, przy rutynowej kontroli, policja drogowa zatrzymała młodego Tamila mówiącego ze srilankańskim akcentem. Podczas przesłuchania przyznał się, że był członkiem dziewięciuosobowego zespołu zabójców przybyłych z Jaffny.

Znaleziono przy nim kartkę papieru z numerem telefonu niejakiej Nalini, miejscowej agentki specjalnej siatki Tamiłskich Tygrysów. Nalini udało się zbiec, ale policja miała już dość szczegółowe informacje o organizatorach i wykonawcach zamachu. Dzięki działaniom wywiadowczym w środowisku tamiłskich przemytników uzyskano potwierdzenie, że przywódca grupy przebywa wciąż na południowym wybrzeżu Indii. Po kilku dniach do siedziby Specjalnego Zespołu Śledczego dotarła gruba koperta z dokumentami, należącymi do Haribabu-fotografa. Nie wiadomo kto je przysłał, może rodzina zrozpaczona z powodu jego śmierci i poszukująca zemsty na sprawcach zamachu? Zawierały mnóstwo ciekawych informacji, zdjęcia, nazwiska i pseudonimy. Dopiero teraz zaczął się prawdziwy pościg i kolejne, szybko następujące po sobie aresztowania. Ale Sivarajana policja wciąż nie potrafiła dostać, był to przeciwnik bardzo przebiegły, prawdziwy tygrys-ludojad. Wraz z Subhą, ukryci w pustym samochodzie-cysternie, należącym do indyjskiego Tamila sympatyzującego z LTTE, uciekli do Hyderabadu w sąsiednim stanie Andhra Pradesh. Sivarajan wymykał się coraz to nowym zasadzkom – „ścigają mnie jak psy” – zwierzał się przyjaciółom.

Siły bezpieczeństwa nie potrafiły, pomimo świetnie prowadzonego śledztwa, wziąć żywcem większości osaczonych zamachowców. Jeden z nich, Dixon, otoczony przez uzbrojoną policję włamującą się do mieszkania, spokojnie zniszczył radiostację, spalił dokumenty i kilkaset tysięcy rupii w gotówce, a agentom policji, przed zażyciem trucizny, pozostawił kartkę z jednym słowem: „gratuluję”. Dwie kolejne próby aresztowania kilku członków grupy Sivarajana zakończyły się popełnieniem przez nich samobójstwa – wszyscy zażyli cyjankali. Agenci policji byli nawet wyposażeni w sprowadzone specjalnie z zagranicy zestawy odtrutkowe, ale zanim włamali się do mieszkań, było już po wszystkim. W końcu osaczono również Sivarajana i Subhę. Obydwoje popełnili samobójstwo: Subha rozgryzła kapsułkę cyjanku potasu, a Sivarajan strzelił sobie z pistoletu w skroń.

Czy wszystko jest jasne do końca?

Ostatecznie na ławie specjalnego sądu w Madrasie zasiadło dwudziestu sześciu oskarżonych. Wyrok ogłoszony przez sędziego Navaneethana skazujący wszystkich na karę śmierci przez powieszenie wywołał u większości szok i niedowierzanie. Czy Nalini, matka pięcioletniej córki, którą urodziła w więzieniu, sympatyzująca ze sprawą Tamiłskich Tygrysów powinna zawisnąć na szubienicy tak samo jak Chinna Santhan, agent wywiadu LTTE, który wylądował w Indiach wraz z główną grupą zamachowców? Czy P. Ravichandran, który udzielił schronienia zabójcom i G. Perarivalan, którego jedyną winą było zakupienie dwóch dziewięciowoltowych baterijek użytych później do skonstruowania bomby są tak samo winni jak Murugan i Shankar, członkowie LTTE, przybyli z grupą zabójców? Czy kara śmierci należy się S. Padmie, matce Nalini za to, że udzieliła schronienia kilku członkom grupy, w tym Muruganowi, mężowi jej własnej córki? To są pytania, które zadaje sobie wielu Indusów, bo wyrok jest bezprecedensowo srogi. Niektórzy mówią: „dla

zadośćuczynienia tragedii jednej rodziny, rodziny byłego premiera, skazuje się na śmierć ludzi, którzy na to nie zasługują”.

Ale nie są to jedyne pytania. Już kilka dni po zamachu ślad wskazujący na Tygrysy, jako sprawców był bardzo wyraźny. Może aż za bardzo. Czy fotograf Haribabu zginął przez przypadek, bo podszedł za blisko do Dhanu? A może nie wiedział, że zostanie użyta właśnie bomba? Może jego śmierć była częścią planu? Jak to się stało, że nikt spośród zamachowców, których było na miejscu dostatecznie wielu nie pomyślał, żeby skorzystać z chaosu i zabrać kamerę? Jaka to tajemnicza osoba wysłała policji dokumenty zgromadzone przez Haribabu, które naprowadziły władze na ślad zabójców? Czy na pewno rodzina? Dlaczego niejakiego Shanmugama, jednego z pierwszych aresztowanych po zamachu agentów LTTE znalazłono zaraz po ucieczce z aresztu wiszącego na gałęzi niedaleko więzienia? I dlaczego był ubrany inaczej niż podczas aresztowania? Oficjalne wytłumaczenie to samobójstwo, ale kto ucieka tylko po to, żeby się godzinę później powiesić? Dlaczego ciało lidera grupy, Sivarajana, spalono natychmiast po popełnieniu przez niego samobójstwa, a ciało Subhy nie? Według niektórych informacji wygląd otworu wlotowego w jego głowie budził wątpliwości już na pierwszy rzut oka. Inne wątpliwości wiążą się z krążącymi pogłoskami o udziale w spisku niektórych wysoko postawionych osobistości świata politycznego Indii. Między innymi pewnego tajemniczego sadhu – świętego męża. Po cichu nie wyklucza się udziału wywiadów kilku wpływowych państw. Czy Prabhakaran był na pewno inicjatorem zamachu, czy też tylko jego sprawnym wykonawcą? A jeśli tylko wykonawcą, to na czyje zlecenie? I za ile? Może kiedyś poznamy odpowiedzi na te pytania, a może nie poznamy.